

Z TEATRU

Karolina Beylln

Czy Warszawa sprzed 70 lat?



Hreczkosiej Fafuła (Henryk Szletyński) uwodzony przez damy z półwiątka (Urszula Halaśńska i Ma nuela Kiernikówna). Fot. M. Grosirth

Feliks Schober: Podróż po Warszawie, adapt. Z. Krawczykowski. Opracow. muz. K. Stromenger. Insceniz. i reżys. Maryna Broniewska. Scenogr. A. Uniechowski. Teksty piosenek: Kazimierz Wroczyński.

BYŁA koło roku 1880 Warszawa, blicząca trzysta kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, domów murowanych 2480, drewnianych 937. Warszawa naftowych lamp po mieszkaniach, a gazowych latarni na ulicach, omnibusów konnych i dorożek oraz statków parowych na Wiśle, tiurniur damskich i „ogonów”, zmiatających kurz z alej modnego Ogrodu Saskiego, Warszawa zabaw w Dolinie, ludowych rozrywek na Saskiej Kępie, „Bluszczu” czasopiśmie dla kobiet, „Przyjaciela dzieci” dla dziatwy, jak się wówczas mówiło, „Kuriera Warszawskiego” dla wszystkich, „Kłósów” dla rodzin, a „Muchy” do rozmieszania. Warszawa instytucji filantropijnych, jak ochrony dla dzieci, tanie kuchnie dla głodnych, biura informacji o nędzy wyjątkowej i bezpłatne czytelnie. Warszawa pięciu teatrów, cyrku pana Salomońskiego przy ulicy Włodzimierskiej, (Czackiego) oraz „innych teatrów letnich prywatnych”, jak Alhambra na Miodowej, Alkazar i Arkadia na Królewskiej Bellevue na Chmielnej, Eldorado na Długiej i Pod Lipką na Przejazdzie. W tych teatrzykach, zwanych popularnie ogródkowymi grywano najrozsadniejsze sztuki i sztuczki, przeważnie z muzyczką, naszpikowane aktualnymi dowcipami, nierzadko reklamami firm dobrze znanych w Warszawie, jak optyk Pik na Niecałej, wydawca popularnych kalendarzy Józef Unger, fabrykant szczonek Feist, fotograf Mieczkowski czy „fabrykant pierników” Wróblewski.

Do takich sztuczek-wodewilów, za którymi szalała ówczesna Warszawka należy „Podróż po Warszawie” Feliksa Schobera znana też pod tytułem „Dorożka po Warszawie”. Znamy miłość warszawiaków do swego miasta, a zwłaszcza do trącących „myszka” realiów warszawskich. Toteż myśl wystawienia teraz tego wodewilu wydawała mi się dobra. Mamy świeżo w pamięci znakomite powodzenie „Żołnierza królowej Madagaskaru”, który przecież wyszedł z tego samego źródła.

Ale wystawienie takiej komedyjki, która sentymentem i dowcipem zdoła będzie publiczność, udać się może jedynie pod tym warunkiem, gdy ktoś w umiejętny i twórczy sposób podleje ją ostrym pieprzonym sosem, topiąc w nim wszystko, co już dla nas dzisiejszych przebrzmiało. „Żołnierz Królowej Madagaskaru” miał to samo szczęście, które przed nim miała jeszcze komedyjka „Jadzia-Wdowa”: kucharzem tego sosu był Julian Tuwim. Popatrzył on na starą komedyjkę dzisiejszymi oczyma, przyprawił ją dowcipami, które dziś w naszych uszach brzmią wyjątkowo komicznie (przypomnijmy sobie choćby rozmowę panów, bojących się nowego wynalazku telefonu) i osiągnął pełny efekt. Dbał on też o to, co jest warunkiem sine qua non przy wystawianiu takiej omszonej komedyjki: o autentyczność realiów wszelkie-

go rodzaju. Pamiętam, jak radził się Tuwim, jakiego formatu była gazeta z roku, w którym akcja się rozgrywa, jak zastanawiał nad każdym najbłahszym szczegółem.

Stosując te dwa zabiegi (dowcip, brany pod kątem dzisiejszej epoki, oraz wierność realiów) osiągnął całkowiście cel, o który chodzi: atmosferę autentyczną starej Warszawy oraz śmiech na sali. Sentyment i humor.

NIE można tego powiedzieć, niestety, o opracowaniu „Podróż po Warszawie”. Bo choć była przyjemna muzyka, choć takie autentyczne płody, żeś w Warszawie była...“ czy senki, jak „Nie zwracaj kontrafalta”, „Mówiłem jej bądź zdrowa, Karolciu, ma królowa...” odgrzebane przez Kazimierza Wroczyńskiego z zapomnienia, śmieszyły i rozrzewniały, choć akcją przenoszono z Saskiej Kępy do Doliny Szwajcarskiej, do teatrzyka ogródkowego, a nawet na Stare Miasto, choć śpiewał kataryniarz i kłóciły się przekupki — to niesposób było odnaleźć w tym wszystkim atmosferę Starej Warszawy, zwłaszcza tej schyłku zeszłego stulecia, tak bardzo obfitującej w charakterystyczne szczegóły.

A szkoda, bo poszczególne role były starannie i trafnie opracowane, jak choćby dwie naczelnice: Barnaby Fafuły, ziemianina, który wybrał się na wędrowkę po „grzesznej” Warszawie, niczym „Mazurkiewicz, bój się Boga” (znakomitą soczystą sylwetką Fafuły stworzył Henryk Szletyński) i kantorzysty Józia Grojseszyka w zabawnej interpretacji Tadeusza Bartosiaka.

A szkoda, bo przy takim znawcy realiów starowarszawskich jak Antoni Uniechowski można by zamiast bardzo ładnych, ale tylko umownych dekoracji mieć realistyczną, w tym wypadku skuteczniejszą scenografię.

Niewątpliwie na „Podróż po Warszawie” publiczność będzie waliła drzwiami i oknami. Kochamy przecież spektakle starowarszawskie, ale widowisko pozostawia, mimo wszystko, duży niedosyt, przede wszystkim, gdy chodzi o warszawski dowcip, który pozostał niewyżytkany i o warszawskie realia, których nam poska-piono.